

Przełożył Miłosz Wojtyna

Ciasno

Nie sposób wątpić, że ci, co mawiali: „cmyntarna zimia to zimia Truggina”, mieli więcej racji niż każdy, kto wciąż nazywał cmentarz w Tadnol „włościami Pana”.

– Jakie tam włości! – rzekł kiedyś Truggin, słysząc tak elegancką mowę. – Toż to raptem parę arów!

Nikomiu w całym Tadnol, nawet farmerowi Spenke, który pamiętał biblijne czasy, nie przyszło do głowy, że kościelnym może być ktoś inny niż Truggin.

Truggin, o policzkach rumianych jak jabłka Superbii, choć ani cherlawy, ani przywieńdły, miał swoje lata. Trawę na grobach przycinał przez cały rok z troską dobrego sklepiarza, który zawczasu przygotowuje bożonarodzeniową wystawę.

Ciężka praca i szczególna dbałość kościelnego sprawiły, że miejsce ostateczne, przytulne z natury, nabrało wielkiego uroku – przynajmniej z wierzchu. Każdy, kto wiedział, że jego dni są policzone, myślał więc z radością o bieli przebiśniegów w ogrodzie Truggina i brzozie ziemi, na której wyrosły. Jeśli gdziekolwiek na świecie można było czuć się mile widzianym, to właśnie tam. Wiatr wiał rozkosznie, w letnim upale schronienie dawał cień starego cisu, a w lutym na murze kwitł mech tak piękny jak nigdzie indziej.

Gdyby spytać mieszkańców Tadnol, co znaczy dla nich prawdziwe szczęście, padłyby dwie odpowiedzi: po pierwsze – „umrzeć”, po drugie – „pochówek mieć u Truggina”.

Każdy, kto rozumie wielką tajemnicę (a Truggin rozumiał ją jak nikt inny), broniłby trawiastych kopców przed zakusami intruza. Kiedy pan Dibben z Weyminster, człowiek o długiej twarzy i długich spodniach wikarego z kościoła św. Łukasza, przybył do Tadnol na miesięczną praktykę i pewnego dnia powiedział bez cienia szacunku, że zmarłych należy kłaść w ziemi jeden za drugim jak ziarna bobu, kościelny prychnął urażony.

– W Weyminster – dodał Dibben – nikt nie wysuwa się przed szereg. Zupełnie jak w armii.

– Miastowe sposoby na nic się tu zdadzo – odparł Truggin. – Ludziska chcą być ino wśród tych, których znajo. Zmarli – ciągnął kościelny, zapalając się do tematu – majo różne widzimisję, ta jak my. Ni ma sensu, żeby panna Jarrett leżała przy starym Burcie, który do rzeki wpadł zy dwadziścia razy, nim się porządnie utopił.

Dibben spojrział na grobowe kopce i wyjął z kieszeni plan cmentarza. Pokazał go Trugginowi.

– Gdybyście chowali, jak należy – powiedział Dibben surowym tonem – nie musieliśmybyśmy martwić się brakiem miejsca.

– Iii tam, jeszcze jeden się zmieści – odparł Truggin.

Tydzień później zmarł stary Barker.

Zanim stracił resztkę sił, dołożył on wszelkich starań, by zadbać o miejsce na cmentarzu. Trugginowi się to podobało – z radością patrzył na kolejnych szczęśliwców. – Nic ci tu przecie nie grozi. A za pół korony przystrygnę trawę na grobie tak równusieńko, że cała wieś się zleci. Nikt nie ma tak dobrze, jak ci, co nie żyją.

Stary Barker rozglądał się po cmentarzu z miną kogoś, kto chce wynająć nowe mieszkanie. Patrząc z aprobatą, zauważył ptaki. – No, piknie tu. A ptaszki świergołą na gałęziach cisu.

– Wszystko, i ludziska, i ptaszyska są tu szczęśliwe – odparł Truggin, czyniąc dumny gest, niczym burmistrz na placu budowy nowego osiedla.

– A może – stary Barker spytał tonem kogoś, kto prosi o przystupę – datoby się położyć mnie koło ciotki Jane, co dawała mi pensa, kedym był szczawikiem?

Jak na pracowitego człowieka przystało, Truggin z radością zabrał się do kopania.

Bawiła go myśl o hojnej ciotce, jednak gdyby z ziemi wysunęły się kościste palce dzierzące monetę, nie potakomiłby się na pieniądź przeznaczony dla Jimmy'ego Barkera, który właśnie umierał w wieku lat osiemdziesięciu.

Gdy Dibben zjawił się na cmentarzu, żeby popatrzeć na poczynania kościelnego, Truggin się zdenerwował. Jeśli oglądano go przy pracy, to tylko z należyтым szacunkiem i powagą. Niejednemu zdarzyło się zdrzeć na widok ciemniejszych plam na ścianie świeżo przygotowanego wykopu. Dibben przyglądał się z innej, duchowej perspektywy.

Dzień był ciepły i lekko padało. Truggin, pracując w płaszczu, prędko poczuł, że jest mu gorąco.

Gdyby był sam, do głowy by mu nie przyszło, żeby zdjąć płaszcz przy pracy. Jednak spojrzenie Dibbena i jego niestosowne uwagi o rozkoszy nieba i nikczemności życia na ziemi – czyli tematach, których Truggin ani nie lubił, ani nie miał zamiaru poruszać – sprawiły, że kościelny zrzucił kapotę z rozgrzanych pleców.

Dibben z wielkim poruszeniem rozprawiał o cudownym zmartwychwstaniu, gdy Truggin wskrobał resztkę ziemi z dna grobu. Z czułością przyklepał ściany dołu.

– No, stary Jimmy, łóżko masz już postane – powiedział i wygramolił się z wykopu.

Kiedy Truggin wrócił do chaty, był tak zdenerwowany, że oznajmił żonie:

– Jakby zmarli słyszeli, co kleyki paplają, dawno by już nas wszystkich przeklęli!

– Co ten Dibben powiedział? – spytała żona.

– Same paskudztwa o zmarłych – odpowiedział Truggin i wstrząsnął nim dreszcz.

– A tyś nie złapał jakiego paskudztwa? – spytała żona.

– Ano, pewno coś mnie bierze – odpowiedział Truggin ze złością.

Tej nocy wiosenny wiatr dął potężnie, potrząsając drzewami, łamiąc słabe gałązki, które dopiero pokrywały się zielenią. Krople deszczu, przeciekając przez dach chaty, spadały na chorego Truggina.

– Co za dom, co za bieda – rzekł na wpół przytomny, budząc się po północy. Otart wędę z twarzy. – A przecież znam ci ja lepsze miejsce.

Truggin usiadł na łóżku.

– Stary Barker jeszcze w domu – powiedział na głos – a Dribben mówi, że ciasno się robi w ogrodzie Truggina.

Kościelny spojrzął na żonę. Spała spokojnie. Siwe włosy spoczywały na poduszce.

Truggin uśmiechnął się.

Po cichu zsunął się z łóżka, powoli ubrał, kręcąc głową i uśmiechając przy każdym ruchu.

– Nalepij się nada dobre, suche miejsce, w którym Bóg Wszechmogący rządzi sprawiedliwie i naprawia cieknący dach – wybełkotał. – Stary Truggin zasłużył sobie na ostatnie miejsce.

Delikatnie zamknął drzwi chaty i ruszył w noc.

– To ni jes kradzież – powiedział. – Ciotce Barkera powiem, com za jeden.

Zegar na wieży kościelnej wybił dwunastą. Gdy Truggin otworzył bramę cmentarza, po niebie przebiegały ciemne chmury. Księżyc wyglądał spomiędzy nich, jakby chciał wiedzieć, co kościelny robi tak późno w nocy.

– Ładna rzecz, taka sadyba własnymi rękoma przygotowana – wyszeptał Truggin, patrząc z dumą na otwarty grób.

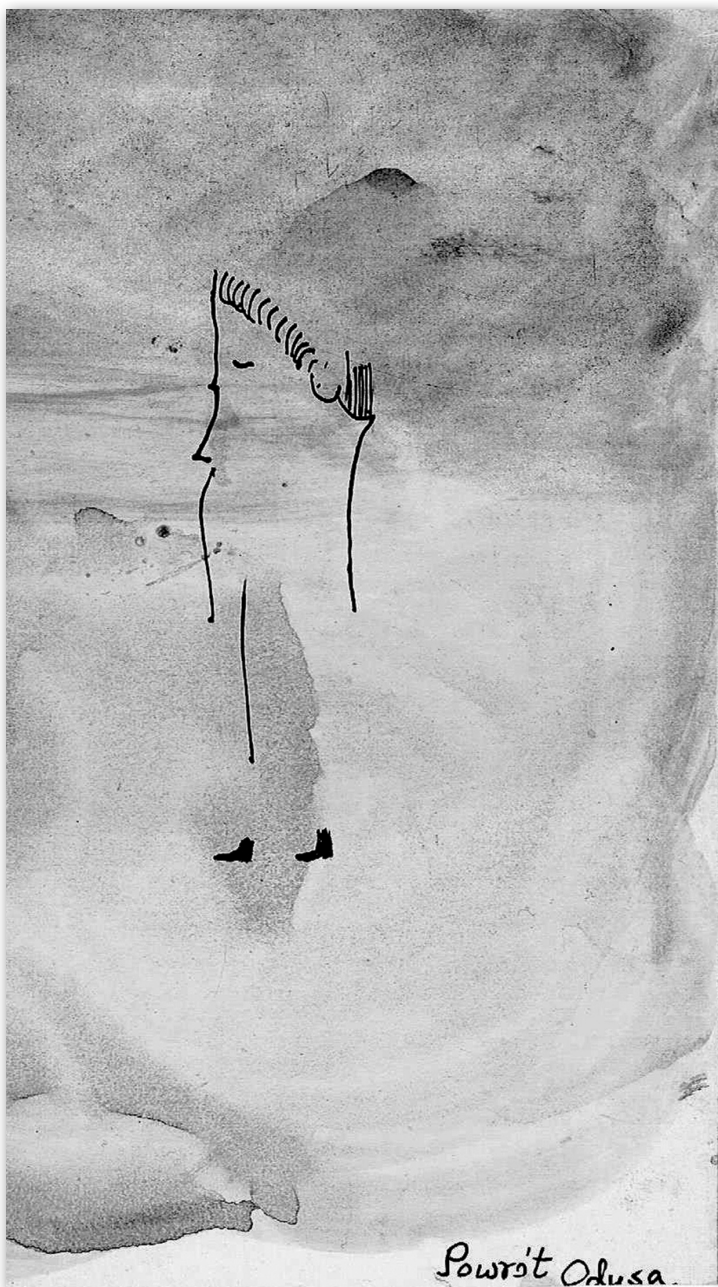
Stał tak przez chwilę, chcąc przyrzeć się po raz ostatni zielonym kopcom, o które tak długo dbał. Po chwili zszedł do grobu i położył się z rozkoszą na dnie.

Otępienie powróciło, stracił przytomność. Po godzinie lub dwóch przebudził się i, odwracając głowę na bok, powiedział w stronę ściany wykopu:

– Nie, ciotko Jane, żadnych pieniędzy. Ja nie rodzina, ino kościelny Truggin.

Przez kilka chwil leżał zadowolony i przytomny, umierając.

– Ciasno tu – wyszeptał. – Ciasno.



Piotr Mitzner, *Powrót Odysa*